

poniedziałek 29 / V 50

Drogi Kaziu,

Dostałem Twój list akurat w momencie, gdy się zbierałem, żeby do Ciebie napisać i powiedzieć Ci, jak bardzo i czule myślę o Tobie. Ponieważ ja wierzę w realność fizyczną życzeń i myśli - więc myślę, że może te życzenia moje choć jeden kamień przepchną - ten mniejszy - bo większy na pewno sobie Halusia zarezerwuje. Napisz mi zaraz, jak Ci tylko minie „discomfort” Ang., dosłownie: niewygodna; tu: złe samopoczucie. po tych zabiegach - co z Tobą robili i czy już wszystko w nocniczku, gotowe do oprawienia w breloczek i sprzedania na licytacji. Chciałbym Ci napisać dużo wesołych rzeczy - ale w tej chwili nic mi do głowy nie przychodzi - zwłaszcza że ostatnio trochę jeździłem z filmem i nie miałem czasu na wywiadywanie się o grzechy rodaków. Wczoraj był pokaz w Glen Cove, na którym spotkałem Kondrackiego w towarzystwie bardzo atrakcyjnego chłopca, mogącego swą inteligencją i wyglądem zasiać niepokój w sercu niejednego starszego pana. Kondracki przedstawił mi go: „To jest Georges Kondracki, mój syn. Niestety! Nie mówi po polsku. Ale Czapski zaczepił go, nie znając, na ulicy w Paryżu i zapytał: «Czy Pan czasem nie jest Polakiem?»”. Zgodzisz się, że to piękne opowiadanie i zarezerwowałem dla Ciebie jego premierę. Do Anieli przyjeżdża teraz Litka Romaszkan (Aleksandra Ormé), która napisała, jak wiesz, książkę o Moskalach, zapowiadając się jako super-duper bestseller, gdyż rozwiązuje ona kompleks Amerykanów, pragnących koniecznie, aby Moskale okazali się miłymi ludźmi. Otóż Litka konstatuje m.in., że wprawdzie żołnierze sowieccy gwałcili dzieci, ale cóż mieli robić, skoro nic innego nie mieli „pod ręką”. Wprawdzie pani Ormé była szaleńczą lesbijką, która na tym tle miała nawet skandale, ale myślę, że musiała być jako „małe bobo” dobrze zerżnięta przez sowiecką armię - skoro jej książka istotnie, na okładce książki, wydanej przez nowojorską oficynę Morrow widnieje tekst reklamowy: „Gay... amusing... slightly terrifying. A first-hand account of what happens when the Red Army «liberates» a country” (przekł.: Wesołe... zabawne... nieco apokaliptyczne. Relacja z pierwszej ręki o tym, co dzieje się, kiedy Armia Czerwona „wyzwała” kraj). jest reklamowana jako „very amusing” Ang.: bardzo zabawna. Zob. Utwór Comes the Comrade!. Poczciwa Aniela, wcielenie zdrowia, ma, jak się okazuje, pensjonat dla homoseksualistów i jest permanentną i bezinteresowną sekretarką przyjaciół Rosji. Zdradziła mi ona pewien sekret, który ja powinienem był znać najpierwszy jako największy (jak myślę) przyjaciel Ziab, który Was dawno namawiał na to, co podobno teraz postanawiacie. Musicie wrócić do Nowego Yorku. Nie możesz mieszkać ciągle wśród fiordów i dzikich gęsi, bo się zrobisz Ibsenem Lechoń przywołał akurat jego nazwisko, nawiązując przez analogię do jego dramatu Dzika kaczka (1884) i motywu dzikich gęsi u Wierzyńskiego.. A ja chcę, żebyś Ty był jak Sofokles i Eurypides. Kaziu! Bądź tak dobry i poproś Halusię o pewien akt głębokiej ludzkości. Jeśli uzna ona to za właściwe - niech będzie takim aniołem i napisze Mr. Aubrey H. Johnston 307 East 23 Str., że dziękuje mi za życzenia i ma nadzieję, że niedługo zobaczy go w Sag Harbor. Ja Ci gwarantuję, że żaden niewczesny przyjazd z tego nie wyniknie - natomiast ten biedny Amerykanin, niemający nikogo na świecie poza starym biednym Polakiem - będzie miał wrażenie, że do czegoś należy i pokaże swym kolegom, że ma oto jakichś dobrych znajomych, którzy chcą go widzieć. Nie masz pojęcia, co to za smutna sprawa życie tego chłopca. Jak pójdziesz na sztukę Member of the Wedding Lechoń był najwyraźniej pod wrażeniem tej sztuki, nie tyle ze względu na jej walory artystyczno-literackie (o których wyrażał się raczej krytycznie w Dzienniku w notatce z 3 kwietnia 1950 r.), ile z powodu przedstawienia określonych sytuacji psychologicznych, które wiązał z życiowymi doświadczeniami Aubreya Johnstona, człowieka - według poety - dotkliwie okaleczonego przez brak właściwych relacji rodzinnych i głęboko samotnego. W Dzienniku stawiał swego rodzaju diagnozę tego stanu: „Temat, a raczej problem The Member of the Wedding to te mielizny dusz zabłąkanych w tym kraju, nie należących do niego i do nikogo, a spragnionych uczestnictwa w czymś i w jakiejś rodzinie, jakiejś społeczności. Tutaj rodzina kończy się, ledwo dzieci dojrzeją, więź społeczna nie ma nic wspólnego z tym uczuciem, które stwarzał patriotyzm w Europie. Dziś dostałem kartkę z życzeniami na święta, która jest wołaniem takiej właśnie bardzo cennej i opuszczonej duszy o gromadkę choćby, jeśli nie społeczność, do której mogłaby należeć. Poczucie, że jest się czymś w takim życiu - to odpowiedzialność, której nie sposób z siebie zrzucić, której nie podjąć byłoby zbrodnią” (J. Lechoń, Dziennik, dz. cyt., t. 1, notatka z 6 kwietnia 1950 r., s. 260). Swoisty komentarz do związku Lechonia z Johnstonem i licznych notatek poety w Dzienniku na temat roli, jaką odgrywał w życiu młodego partnera, stanowi opinia Wierzyńskiego, wyrażona w liście do Mieczysława Grydzewskiego, po tragicznej śmierci przyjaciela: „Leszek mówił mi, że Aubrey jest dla niego jak syn, że zrobił z niego człowieka jak Pigmalion” (list z 15- 16 czerwca 1956 r.; cyt. za: Z listów do Mieczysława Grydzewskiego 1946-1966, oprac. R. Habielski, Londyn 1990, s. 77).., to zrozumiesz tę amerykańską tragedię. Żuczku! Paf kamyczek do nocniczka! No, natęż się dobrze. Eg Eg Eg. Paf! Brawo! Ściskam Was najczulej

Leszek